

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

20

— Może — wycodził przez zęby stary archiwista, patrząc z boku na towarzysza — ale nikt nie uwierzy, aby tego rodzaju kobieta, jak Berta, dała się uwieść temu pocziwemu chłopcu, którego osoba nie była tego rodzaju, aby wzbudzić mogła nagłe porywy i szaleństwa. W tem usiłowaniu uwiedzenia go, był inny powód i przynajmniej, że poznać go chciałem.

— Cóż więc pan uczynił? — zapytał z ciekawym pułkownik.

— Szukałem go, — odpowiedział lakonicznie stary archiwista.

— I znalazł go pan?

— Jeżeli go nie znalazłem zaraz, to depesza, którą otrzymałem wczoraj od pana Durandeau, oświeciła mnie dostatecznie.

— Pan Durandeau oznajmił panu zapewne wyjazd swojego pełnomocnika?

— Jeszcze lepiej.

— Cóż takiego?

— Pan Durandeau doniósł mi o zniknięciu testamentu, o którego istnieniu powiedziałem panu, panie pułkowniku. — wyrzekł z naciskiem Cypryan Leduc, patrząc prosto w oczy swojego towarzysza.

— Ach! Czy być może?

— Z tego wynika, że pan skorzystał z mojego wyznania uczynionego w zaufaniu, aby wytworzyć kombinację, niszczącą zupełnie nadzieję wszystkie, które budowałem na sukcesji Bonnet.

Przez chwilę pułkownik Robert cieszył się w całej pełni uzyskanym tryumfem.

— Mój Boże! — rzekł wkońcu — To rzeczywiście wielkie nieszczęście dla pana. Ale niech pan przyzna, że okazał się pan za mało ostrożnym, a nawet na człowieka tak poważnego i mądrego — bardzo pan lekkomyślnie postąpił.

Stary archiwista potrząsnął głową.

— Przyznaję to — rzekł tonem ironicznego żalu — ale to nie pierwsze głupstwo, które popełniłem w życiu... Ale do tej pory byłem zawsze na tyle szczęśliwym, iż mogłem je wszystkie naprawić.

— To powinno pana pocieszyć, bez wątpienia. Kto wie nawet, czy i teraz coś podobnego nie nastąpi. Może pan bowiem wyciągnąć jeszcze korzyść z niemiłego wydarzenia, które pan sam dobrowolnie wywołał.

— To już jest zrobione.

— Do diabła! Umie pan działać szybko! Nie przypuszczam jednak, aby pan potrafił wejść w posiadanie aktu skradzionego panu Durandeau. — zaśmiał się ironicznie pułkownik.

— Nie pomyślałem, co prawda, o tem, bo ten akt wcale mnie nie interesował i nie potrzebowałem się o niego ubiegać!

— Oh! Oh! Pan sobie żartuje.

— Nigdy jeszcze nie mówiłem poważnie. Ale pozwoli pan, że mu zadam jedno pytanie.

— Proszę bardzo.

— To dziś rano, nieprawdaż, dostał pan do rąk ten testament?

— Tak, dziś rano.

— Przeczytał go pan uważnie?

— Oczywiście! Nie mogę przecież powiedzieć tak, jak pan, że mnie nie interesował.

— I nie zauważył pan w nim nic szczególnego? — wycodził powoli Cypryan Leduc.

Pułkownik objął go badawczym i głębokim spojrzeniem.

— Zdaje mi się, że chce się pan dowiedzieć, czy testament był legalny i spisany po formie. — zapytał z lekką nieufnością — Ależ oczywiście, czy sądzi pan, że pozwoliłbym się wywieść w pole?

— Dobrze! Dobrze! Nie chcę nalegać. Ale zobaczmy, panie pułkowniku, kto śmiać się będzie ostatni.

— Co pan mówi?

Stary archiwista wzruszył ramionami.

— Pan bardzo źle postąpił względem mnie — wyrzekł poważnie — i powinienem za to czuć słuszny żal do pana; ale zaangażowany jestem w tę sprawę również silnie, jak pan i nie chcę się okazać zanadto niewyrozumiałym.

— Do czego to wszystko prowadzi? — rzucił niecierpliwie pułkownik.

— Zaraz, zaraz. Niechże się pan przedewszystkiem dowie, że znajdowałem się równocześnie z panem w Marsylii.

— Czy to możliwe?

— Ze nie potrzebowałem odgadywać celu, jaki tam pana sprowadził i że od razu przewidziałem, że ten biedny Lambertin, omotany przez pana, da się pociągnąć aż do popełnienia zbrodni.

— Cóż dalej?

— Nie chciałem ażeby się tak stało, rozumie pan i chcąc dać panu nauczkę, na którą pan rzetelnie zasłużył...

— Cóż pan uczynił? Cóż pan uczynił do diabła?! — zawołał, błędąc pułkownik.

— Uprzedziłem pana Durandeau — powiedziałem mu, że według wszelkiego prawdopodobieństwa ktoś usiłować będzie skraść z jego biura testament Bonnet'a, powierzony jego pieczy i... zastąpiliśmy ten autentyczny akt kopią, którą pozwoliliśmy panu zabrać.

— Pan to uczynił, pan? — zawołał zrywając się pułkownik.

— Tak, ja. — odparł skromnie stary archiwista — A rezultat jest taki, że akt, wręczony panu, nie ma żadnej wartości, że tyle ma znaczenia, co ćwiartka czystego papieru i że zadał sobie pan wiele niebezpiecznego trudu, bez żadnej korzyści. — kończył, uśmiechając się.

Śmiertelna bladeść pokryła twarz pułkownika. Palce jego zacisnęły się kurczowo na poręczy altanki, oczy jego ciskały złowrogie błyskawice. Dziki jakiś pomruk wybiegł z jego piersi.

— Czy to prawda, co mi pan powiedział? — zapytał zduszonym głosem.

— Pan jeszcze wątpi? — odpowiedział spokojnie stary archiwista — Nie mogłem inaczej zrobić, to jasne, a pan nie powinien czuć żalu do mnie. Sprawa przedstawia się teraz w pierwotnej sytuacji i niech mi pan wierzy, tak będzie jeszcze najlepiej. Testament istnieje, jest nienaruszony, a my znajdujemy się zawsze wobec spadkobiercy, którego usunąć trzeba. Czy to pan dobrze rozumie, panie pułkowniku?

Ale ten nie zdawał się słyszeć słów Cypryana Leduc. Gorączkowym i niespokojnym krokiem przebiegał altankę z głęboką zmarszczką na czole.

Leduc obserwował go z pod oka.

Wkońcu pułkownik, zakławszy z wściekłością, wybiegł na ścieżkę. Stary archiwista powstał i podążył za nim. Doszli tak do furki prowadzącej na ulicę, gdzie pułkownik zatrzymał się.

— A ten spadkobierca? — zapytał, zwracając się do Cypryana Leduc — Któż on jest? Pan mi ukrył jego nazwisko, a ja chcę wiedzieć.

— Odkryję je, jak będzie potrzeba — odparł stary archiwista — Jeszcze nie teraz.

— Gdzież on jest.

— W Paryżu.

— A czy wie on, że należy się mu spadek po tym Bonnetie z Indyi?

— Nie wie nic jeszcze.

— Ale musi mi pan powiedzieć...

Pułkownik nie dokończył rozpoczętego zdania. W tej chwili bowiem powóz, zaprzągnięty w dwa przepyszne konie, zajechał wolno przed furkę ogrodową. Siedział w nim w niedbalej pozie młody człowiek i palił papierosa.

Z piersi pułkownika wybiegł okrzyk zdziwienia.

— Ah! Ten młody człowiek! — zawołał — Tak, tak, jestem pewny, że się nie mylę.

— Pan go poznał? — zapytał stary archiwista, uśmiechając się.

— To on, przyjaciel Gilberty.

— Tak, to Jerzy.

— On już nie jest u pana?

— Opuścił moje biuro jeszcze przed miesiącem.

— Stał się więc bogatym, skoro tak łatwo porzucił pracę.

— Bardzo być może.

— Ale skąd spadł nagle na niego ten majątek? Nie wie pan?

Na twarz Cypryana Leduc wystąpił zagadkowy uśmiech.

— Widzi pan — rzekł — jak przypadek dobrze kieruje wszystkim. Mówiliśmy przed chwilą o spadkobiercy Bonnet'a z Indyi i oto wyrasta przed naszymi oczami jak z pod ziemi. Czy to nie ciekawy zbieg okoliczności, panie pułkowniku?

— Pan chyba ze mnie żartuje! Więc ten młody człowiek...

— Ten młody człowiek jest tym, którego pan tak gorąco pragnął poznać.

— Ale jakim sposobem stać się to mogło?! — zawołał pułkownik.

Cypryan Leduc uczynił jakiś gest tajemniczy.

— Wytlumaczę to wszystko panu — odpowiedział — tylko musi mi pan zaufać zupełnie, inaczej opuszczę pana i pozostawię swojemu losowi. Niech mi pan wierzy zresztą, to najlepszy środek do osiągnięcia celu, który ucieka panu z ręki. Czy zgadza się pan na to?

— Muszę, choćbym nie chciał. — mruknął niechętnie pułkownik.

— To bardzo szczęśliwie dla pana. Jestem bardzo zadowolony, widząc te dobre chęci pana i teraz mam niezłomną nadzieję, że nic już nie stanie na przeszkodzie naszym zamiarom.

— Jakież są one?

— Są bardzo proste. Gdyby pan był się nie pokusił działać bezemnie — być może, żebym dopomógł do usunięcia testamentu. Ale pan chciał poprosu podejść mnie podstępnie i oto teraz zabrnęliśmy na drogę bez wyjścia.

— Bez wyjścia?

— Nie całkiem. Aby wyjść z tej drogi, musimy usunąć tego młodego człowieka.

— Czy sądzi pan, że to mnie powstrzyma w działaniu — odparł pułkownik, zuchwale podnosząc głowę i patrząc zimno na towarzysza.

— Jestem przekonany, że nie pana powstrzymać nie jest w stanie. — wyrzekł z lekką ironią w głosie stary archiwista. — Dlatego też nie bawię się w żadne illuzye co do ważności chwili i sytuacji, jaka się nam przedstawia. Sytuacja jest zresztą jasna: Bonnet umarł i pozostawił dziecko, któremu zapisał cały swój majątek. Ażeby zaś dalsi krewni mogli skorzystać z tego spadku, trzeba, żeby to dziecko znikło z powierzchni ziemi. A więc zniknie — oto wszystko.

— Kiedy? — zapytał pułkownik, pochylając się nad Cypryanem Leduc.

— Jutro, pojutrze, kiedy tylko zechcemy — odpowiedział tenże powoli.

— Jakiego użyjemy środka?

— Oh! Na to nie trzeba wielkiego wysiłku imaginacji. Ten młody człowiek kocha się do szaleństwa w protegowanej pana, pannie Gilberte. Ona również odwzajemnia mu się gorącym przywiązaniem. Łatwo więc bardzo ściągnąć go możemy której nocy do mieszkania pana w Belleville i tam rzecz już zakończymy.

— Rozumiem pana.

— A więc, jest to rzecz postanowiona, nieprawdaż? I więcej już mówić o tem nie będziemy. Teraz już muszę opuścić pana, ale dziś wieczorem, lub jutro, nie wiem jeszcze na pewne, zobaczę się z panem i weźmiemy się do dzieła.

— Pan już odchodzi.

— Tak, muszę, ale niech pan będzie przekonany, że przyspieszę, o ile będzie w mojej mocy, rozwiązanie tej sprawy, którą interesujemy się obydwaj. Rzecz, według mojego przekonania, zadługo się już wlece i trzeba ją już raz zakończyć. Niechże więc pan ze swojej strony zobaczy się z Gilbertą i niech pan będzie dla niej względny i wyrozumiały. Przedewszystkiem niechże się pan postara o przywrócenie jej wiary w pana, którą musiała utracić i niech jej pan pozwoli cieszyć się nadzieją, że nie będzie się pan dalej opierał jej małżeństwu z Jerzym. To będzie najlepszy środek, aby ją dobrze usposobić dla pana.

— Uczynię to wszystko, co mi pan radzi — odparł z ożywieniem pułkownik.

— A więc dowidzenia!

— Dowidzenia!

Cypryan Leduc, nie podając ręki towarzyszowi, skłonił się lekko i wyszedł na ulicę.

Pułkownik zaś, idąc za jego radą, kazał się zaraz po jego odejściu zawieźć do Belleville, w celu pomówienia z Gilbertą.

Zasiał ją w małym pokoiku zajmowanym przez nią którego okna wychodziły na ulicę. Siedziała przy oknie z książką w ręce, ale jej nie czytała. Spojrzenie jej zamyślane i smutne biegło w dal, w której majaczyły się kontury wysokich, wspaniałych domów Paryża. Łatwo zrozumieć, o czem myślała młoda dziewczyna i że patrząc tak uparcie ku miastu, wywoływała obraz Jerzego, o którym ani przez chwilę zapomnieć nie mogła.

Dawno go już nie widziała, od owej sceny nocnej z opiekunem i coraz cięższy smutek